

W liceum, mając trzynaście, czternaście lat, zaprzyjaźniłem się blisko z pewnym chłopcem z mojej klasy, synem profesora uniwersytetu powstającego dopiero w naszym mieście. Nie byłoby przesadą powiedzieć, że się w nim zakochałem. Kochałem go tak, jak się kocha w tym wieku. Ale ponieważ byliśmy chłopcami, nie mogłem oczywiście wyznać mu swoich uczuć (to jedna z najbardziej traumatyzujących trudności pociągu homoseksualnego w latach dorastania – i zresztą w innych okresach życia też: nie można wyrazić tego, co się czuje do kogoś tej samej płci, stąd potrzeba miejsc spotkań, gdzie zasady oczywistości ulegają odwróceniu, trzeba tylko te miejsca znać i być pełnoletnim). Napisałem: „nie mogłem wyznać” mu swoich uczuć. Oczywiście. Ale najpierw nie umiałem ich sformułować dla siebie. Byłem jeszcze za młody, a cała kultura była – nadal w dużym stopniu jest – zorganizowana w taki sposób, że nastolatek nie dysponuje odniesieniami, obrazami, językiem, które pozwoliłyby mu zrozumieć i nazwać to intensywne uczuciowe przywiązanie inaczej niż w kategoriach „przyjaźni”.

Pewnego dnia nauczyciel muzyki kazał uczniom rozpoznać fragment utworu, którego mieliśmy wysłuchać. Byłem zaskoczony, kiedy po kilku taktach ten chłopiec podniósł rękę i oświadczył tryumfalnie: „*Noc na Łysej Górze* Musorgskiego!”. Byłem zbity z tropu. Dla mnie

te lekcje były po prostu idiotyczne, a tego typu muzyka nieznośna, zawsze się z niej wyśmiewałem, ale przede wszystkim chciałem mu się podobać. Tymczasem on znał i lubił coś, z czego ja wyłącznie kpilem, co odrzucałem, coś, co w moim domu nazywano „wielką muzyką”, kiedy przypadkiem trafiło się na radiostację, która ją nadawała i którą czym prędzej wyłączyliśmy, mówiąc: „Nie jesteście na mszy”.

Miał piękne imię. Moje było banalne. Już to symbolizowało w jakiś sposób społeczny dystans między nami. Mieszkał z rodziną w dużej willi w zamożnej dzielnicy w pobliżu centrum miasta. Bywanie u niego w domu imponowało mi i onieśmiało mnie. Nie chciałem, aby wiedział, że mieszkam na nowym osiedlu na peryferiach, i unikałem odpowiedzi, kiedy mnie o to pytał. Jednak pewnego dnia, chcąc zapewne dowiedzieć się, gdzie i jak mieszkam, bez uprzedzenia zadzwonił do moich drzwi. Byłem zdruzgotany, chociaż to był miły gest z jego strony, powinienem być się domyślić, że w ten sposób daje mi do zrozumienia, że nie mam żadnego powodu do wstydu. Miał starsze rodzeństwo na studiach w Paryżu i z racji panującej w jego domu atmosfery w rozmowach ze mną wymieniał nazwiska filmowców i pisarzy, opowiadał o filmach Godarda i utworach Becketta... Czułem się przy nim zupełnym ignorantem. Uczył mnie tego wszystkiego, a przede wszystkim chęci poznania tego wszystkiego. Fascynował mnie, chciałem być taki jak on. Więc też zacząłem mówić o Godardzie, którego żadnego filmu nie widziałem, i o Beckettzie, którego żadnej książki nie czytałem. Oczywiście, był świetnym uczniem, ale

demonstracyjnie okazywał dystans do szkoły, a ja próbowałem robić to samo, tyle że nie miałem jego atutów. Nauczyłem się oszukiwać. Przypisywałem sobie wiedzę, której nie miałem. Mniejsza o prawdę. Liczyły się tylko pozory i mój własny obraz, jaki usiłowałem sfabrykować i narzucić innym. Ba, naśladowałem nawet jego sposób pisania (mam na myśli charakter pisma) i dziś jeszcze kształt moich liter to ślad tamtego dawnego związku. Trwał zresztą krótko. Niebawem straciłem tego chłopca z oczu. Był koniec lat sześćdziesiątych i okres ten pozostawił głębokie, ale radykalnie różne piętno na dwóch młodych umysłach. Mój przyjaciel rzucił szkołę na długo przed maturą i ruszył „w drogę”. Uwielbiał Kerouaca, lubił grać na gitarze, identyfikował się z kulturą hippisowską... Mnie bardziej naznaczył maj '68 i rewolta polityczna: w 1969 roku zostałem – zaledwie szesnastoletni – aktywnym trockistą, co mnie mocno absorbowало w następnych latach. Mniej więcej do dwudziestego roku życia czytałem z nabożeństwem Marksa, Lenina i Trockiego, było to dla mnie decydujące doświadczenie intelektualne, ponieważ skierowało mnie w stronę filozofii.

Wpływ przyjaźni z tym chłopcem i jego pomoc, z której nie zdawał sobie sprawy, okazały się rozstrzygające: mój klasowy habitus skłaniał mnie na początku do oporu wobec szkoły i wymaganej przez nią dyscypliny. Byłem niesforny, nieposłuszny i wystarczyłoby byle co, by nieodparte siły pchnęły mnie do zupełnego jej odrzucenia. On stanowił moje przeciwieństwo: kultura od zawsze była jego światem. Pisał opowiadania fantastyczne. Chciałem pójść w jego ślady i sam zacząłem pisać.

Wybrał sobie pseudonim. Ja też postanowiłem sobie jakiś wybrać, a kiedy mu go powiedziałem, wyśmiał mnie, bo mój pseudonim był kompletnie wymyślony (skomplikowany i dziwny), podczas gdy on podpisywał się swoim drugim imieniem i nazwiskiem panięńskim matki. Nie mogłem z nim rywalizować. Cały czas byłem spychany w niższość. Był wobec mnie okrutny, ranił mnie, wcale tego nie chcąc ani o tym nie wiedząc. Spotkałem się później z wieloma analogicznymi sytuacjami – etosy klasowe leżą u podstaw zachowań i reakcji będących jedynie aktualizacją struktur i hierarchii społecznych w momencie jakiejś interakcji. Przyjaźń też podlega prawom ciężkości historycznej – dwaj przyjaciele to dwie wcielone historie społeczne, które zderzają się z sobą wskutek inercji ich habitusów. Postawy i słowa nie muszą być agresywne w mocnym sensie ani w zamierzeniu raniące, żeby jednak takie były. Na przykład, kiedy przebywa się w środowiskach burżuazyjnych czy po prostu w wyższej klasie średniej, często ma się do czynienia z założeniem, że też się do niej należy. Tak jak heteroseksualni mówią o homoseksualistach w ich obecności, nie wyobrażając sobie, że ci, do których się zwracają, mogliby należeć do tego napiętnowanego gatunku, z którego się śmieją albo go oczerniają, tak samo ludzie ze środowisk mieszczańskich mówią do tych, z którymi się zadają, tak, jakby od zawsze mieli te same doświadczenia życiowe i kulturowe. Nie orientują się, że samo to założenie już jest agresją. To się czasem zdarza z najbliższymi, najstarszymi, najwierniejszymi przyjaciółmi: kiedy po śmierci ojca powiedziałem jednemu z moich – dziedzicowi majątku! – że

nie będę na pogrzebie, ale pojadę do Reims zobaczyć się z matką, odparł na to: „Tak czy inaczej, musisz być przy otwarciu testamentu u notariusza”! To zdanie – wypowiedziane spokojnym tonem jak oczywistość – uzmysłowiło mi, do jakiego stopnia proste równoległe się nie spotykają, nawet w przyjacielskich stosunkach. „Otwarcie testamentu”! Mój Boże! Jakiego testamentu? Jak gdyby w mojej rodzinie było w zwyczaju pisanie testamentów i deponowanie ich u notariusza. Żeby co przekazać w spadku? W klasach ludowych niczego się nie przekazuje z pokolenia na pokolenie: ani papierów wartościowych, ani kapitału, ani domów, ani mieszkań, ani starych mebli czy precjozów⁶⁸... Moi rodzice nie mieli nic poza nędznymi oszczędnościami, odkładanymi z trudem rok po roku na książeczce. Zresztą matka uważała, że to jej się należą, bo ona i ojciec „odłożyli” je wspólnie, pomniejszając swoje dochody o sumy, których przecież potrzebowali. Pomysł, że te pieniądze, ich pieniądze, miałyby przypaść komuś innemu niż jej, wydawał jej się cudaczny i nie do zaakceptowania. „No przecież to moje! Odmawialiśmy sobie wielu rzeczy, żeby odłożyć na czarną godzinę!”, zawołała z oburzeniem w głosie, kiedy bank ją poinformował, że kilka tysięcy franków zdeponowanych na ich wspólnym koncie ma być podzielone między synów i że jej przypada tylko niewielka część tej kwoty; musiała nas poprosić, żebyśmy podpisali dokument, który pozwalał jej dysponować tym „spadkiem”.

68 Richard Hoggart podkreśla to w *33 Newport Street*, dz. cyt.

Tak czy owak, krótka znajomość z tym chłopcem z liceum dała mi zamiłowanie do książek, inny stosunek do słowa pisanego, wiarę w literaturę i sztukę, początkowo tylko udawane, ale z każdym dniem coraz bardziej rzeczywiste. W gruncie rzeczy liczyły się entuzjazm i pragnienie odkrywania wszystkiego. Treść przyszła później. Dzięki tej przyjaźni moja spontaniczna niechęć – to znaczy owoc mojego pochodzenia społecznego – do szkoły nie doprowadziła mnie do odrzucenia kultury w ogóle, lecz przemieniła się w pasję do wszystkiego, co tchnęło awangardą, radykalnością, intelektualizmem. (Duras i Beckett mnie urzekli, ale niebawem w moim sercu górę wzięli Sartre i Beauvoir, tych autorów i ich dzieła odkryłem sam, a zainteresowałem się nimi dlatego, że widziałem ich nazwiska pod petycjami – zwłaszcza w maju '68 i później. I tak oto w 1969 roku kupiłem świeżo wydaną *Détruire, dit-elle* Marguerite Duras, w magicznej dla mnie okładce wydawnictwa Minuit, później zachwyłem się pamiętnikami Simone de Beauvoir). Od dziecięcych lektur – seria Klubu Pięciorga w Różowej Biblioteczce, której każdy tomik pochłaniałem w czasach przedlicealnych – przeszedłem więc prosto do entuzjastycznego odkrycia współczesnego życia literackiego i umysłowego. Ukrywałem swój brak obycia, nieznamość klasyków, fakt, że właściwie nie przeczytałem nic z tego, co inni czytali w moim wieku – *Wojny i pokoju*, *Nędzników...* – za wyniosłą i pogardliwą postawą wobec nich, śmiałem się z ich konformizmu: oni uważali mnie

za „snoba”, czym byłem oczywiście zachwycony. Wymyśliłem dla siebie pewną kulturę, a jednocześnie pewną osobowość i postać.

Co się stało z chłopcem, któremu tyle zawdzięczam? Nie miałem pojęcia, póki nie zacząłem kilka miesięcy temu poszukiwać go przez internet. Mieszkamy w tym samym mieście, ale żyjemy na innych planetach. Nie przestał się interesować muzyką i ponoć zdobył pewien rozgłos w świecie piosenki, realizując „aranżacje” wielu płyt, które odniosły sukces. Nie ma więc czego żałować: cóż moglibyśmy sobie powiedzieć, gdy minął czas młodszej przyjaźni? Ten związek trwał raptem trzy lub cztery lata. Podejrzewam, że nie miał dla niego takiego znaczenia jak dla mnie.

Moje wybory szkolne również były naznaczone ubóstwem środowiska społecznego, z którego pochodziłem. Nie wiedzieliśmy nic o tym, na jakie opcje najlepiej się zdecydować, nie znaliśmy żadnych strategii doboru kierunków – poszedłem do klasy o profilu literackim, a dobrym wyborem byłby profil ścisły (wtedy najwyżej notowany, choć prawdą jest, że wcześniej przestałem się uczyć matematyki i że pociągała mnie „literatura”). Mimo że na początku liceum nauka starogreckiego dobrze mi szła, zarzuciłem ją po dwóch latach, bo przekonałem sam siebie, że greka do niczego nie jest potrzebna – ale głównie dlatego, że chłopiec, o którym mówiłem, postanowił ją rzucić, a ja przejmowałem jego sądy na temat tego, co jest właściwe, a co nie. Zależało mi przede wszystkim na tym, żeby być w tej samej klasie

co on, i zachowałem tylko łacinę, choć też nie wydawała mi się specjalnie interesująca, oraz, w odróżnieniu od tego, który był mi „przewodnikiem”, jako drugi język wzięłem hiszpański zamiast niemieckiego, wybranego przez dzieci z mieszczańskich i inteligentkich domów. Na lekcje hiszpańskiego chodzili najślabi uczniowie, zwłaszcza ci z najmniej zamożnych środowisk – te dwa rejestry są statystycznie z sobą związane – i ten wybór, który nie był wyborem, w rzeczywistości zapowiadał eliminację na dłuższą lub krótszą metę albo relegowanie do jednego z kierunków „śmieciowych”, zrodzonych z „demokratyzacji” i stanowiących jaskrawy dowód na to, że była ona w dużej mierze jednym wielkim oszustwem. Oczywiście, nie miałem o tym pojęcia. Kierowałem się własnym gustem. Pociągało mnie Południe, Hiszpania i chciałem się nauczyć hiszpańskiego (matka przypomniała mi niedawno, kiedy śmiałem się z jej biologicznych fantazji na temat Andaluzji: „Ty też mówiłeś tylko o Hiszpanii, kiedy byłeś mały, chociaż tam nigdy nie byłeś. Musi być jakiś powód!”). Do Niemiec i języka niemieckiego żywiłem antypatię, nawet wstręt. Byłem pod tym względem nietzscheanistą, zanim jeszcze przeczytałem *Ecce homo* i *Przypadek Wagnera*: Morze Śródziemne jako horyzont, ciepło przeciwko zimnu, żywioł umysłu przeciwko powadze, radość południa przeciwko smutkowi zmierzchu. Wydawało mi się, że wybieram, a w rzeczywistości to ja byłem wybrany, czy raczej schwytyany przez to, co mnie czekało w przyszłości. Zorientowałem się dopiero wtedy, gdy pewien nauczyciel, któremu zależało na moich osiągnięciach, powiedział mi,

że wybór hiszpańskiego ustawia mnie w drugorzędnej pozycji i skazuje na wegetację wśród najsłabszych uczniów w liceum. W każdym razie szybko zrozumiałem, że tą drogą podążają ci, którzy są do mnie podobni społecznie, ale nie ci, którzy byli do mnie podobni pod względem wyników w nauce (co świadczy o tym, że dziecko z klas niższych, nawet jeśli bardzo dobrze się uczy, ma wszelkie szanse na to, by obrać złą drogę, to znaczy, by znaleźć się z dala od dróg wiodących do sukcesów tyleż społecznych, co szkolnych).

Ostatnia klasa liceum była „literacka”. Niestety, kurs filozofii, której tam nauczano, okazał się żałosny aż do absurdu – bezbarwny, choć młody nauczyciel, świeżo po studiach, wkładał nam program do głowy, dyktując kurs starannie podzielony na akapity: „Małe a, teza Bergsona, małe b, teza...”. Czytał fiszki odnośnie do każdego tematu i proponował nudne streszczenia doktryn i dzieł znanych mu zapewne tylko z podręczników. Nic nie było sprowokowane. Cała radość nauki znikła. Jego zajęcia były wyjątkowo nieciekawe, nie sposób było się wciągnąć. Cenił i polecał uczniom groteskowe książki, jednemu z nas dał do czytania *Le matin des magiciens* i inne podobne brednie! Marzyłem o wtajemniczeniu w arkana myślenia i refleksji. Miałem zapał do nauki, ale ta schematyczna profesorska rutyna ostudziła moje zapędy. Naprawdę można się było zniechęcić do filozofii. Nie miałem szczęścia trafić na jednego z tych nauczycieli, których słowa wywołują drżenie na sali i których pamięta się przez całe życie, takich, którzy zapoznają nas z nowymi autorami i sprawiają, że zaczynamy pożerać

ich dzieła. Nie, nic z tych rzeczy, nuda i szarzyzna. Dla mnie filozofia to był marksizm i autorzy, których Marks cytował. Dzięki Marksowi zacząłem się pasjonować historią myśli filozoficznej. Dużo czytałem i dostałem bardzo dobrą ocenę na maturze. Tak samo było z innymi przedmiotami (na historii pytano mnie o Stalina – byłem trockistą, wiedziałem wszystko!) i zdałem egzamin bez najmniejszego problemu, a nawet z dużą łatwością. Dla moich rodziców to było wydarzenie wprost niewyobrażalne. Byli wstrząśnięci. Zatkąło ich.

Miałem się zapisać na wydział literatury i nauk humanistycznych. Trzeba było wybrać jakiś kierunek i wałęsam się między filologią angielską a filozofią. Zdecydowałem się na filozofię, gdyż bardziej odpowiadała mojemu wyobrażeniu o sobie samym i miała odtąd wypełnić moje życie i ukształtować moją osobowość. W każdym razie chełpiłem się swoim wyborem. To, że jestem „studentem filozofii”, uszczęśliwiało mnie. W naiwności swojej nic nie wiedziałem o klasach przygotowawczych do egzaminów konkursowych do wielkich szkół. W ostatniej klasie liceum pojęcia o tym nie miałem. Nie tylko o tym, że dostępnym do tych instytucji był, i nadal jest, może jeszcze bardziej, zastrzeżony dla uczniów, którzy nie pochodzą z klas ludowych, ale że w ogóle istnieją takie możliwości. Kwestia więc nawet przede mną nie stanęła. A kiedy o tym wszystkim usłyszałem, już po zapisaniu się na uniwersytet, poczułem się – cóż za naiwność! – lepszy od tych, którzy po zdaniu matury kontynuowali naukę w liceum, co dla mnie było dziwne, gdyż wydawało mi się, że każdy uczeń powinien aspirować do

„pójścia na wydział”. Nieznajomość hierarchii szkolnych i nieobeznanie z mechanizmami selekcji prowadzą do dokonywania wyborów najbardziej kontrproduktywnych, do decydowania się na ścieżki z góry przegrane, przy czym człowiek zachwyca się, że ma dostęp do tego, czego ci, którzy są wtajemniczeni, starannie unikają. Faktycznie klasy nieuprzywilejowane sądzą, że osiągnęły pozycje dawniej dla nich niedostępne, a tymczasem nie mają już one tej wartości i tego miejsca, jakie przyznawano im w systemie wcześniejszym. Relegowanie odbywa się wolniej, wykluczenie następuje później, ale dystans między panującymi a podporządkowanymi pozostaje nienaruszony – odtwarza się, zmieniając miejsce. Bourdieu nazywa to „translacją struktury”⁶⁹. To, co określono mianem „demokratyzacji”, jest translacją: pod pozorami zmian struktura utrzymuje się i utrwała w formie niemal tak samo sztywnej jak niegdyś.

69 Pierre Bourdieu, *La Distinction*, dz. cyt., s. 145 i nast.